

Ks. Jan Sochoń: Samotny w kościele?

Gdyby się okazało, że światowa pandemia nie będzie ustępowała i zakaz odwiedzania świątyń zostanie utrzymany, wówczas życie religijne chrześcijan ulegnie niemal całkowitemu skostnieniu. Skurczenie się przestrzeni religijnej do serca każdego wierzącego sprawi, że zerwie się linia łącząca go z dawcą nieśmiertelności – Chrystusem – pisze ks. Jan Sochoń.

Nie mogę pośród bitwy iść z różą w rękę

Jean Gion

I. „Czy Pan Jezus może dźwigać człowieka stojącego samotnie w kościele. Czy warunkiem koniecznym religii nie jest wspólnota. Czy modlitwa nie ma charakteru wspólnotowego? Inaczej to jakiś protestantyzm, a to przecież dobre dla intelektualistów, na dodatek takich, którzy zachowali wpływy niemieckie” – napisał w mailu do mnie Piotr Nowak, oczekując, domyśliłem się, szybkiej reakcji z mojej strony.

Odpowiadam zatem stając na twardym gruncie utworzonym z najzupełniej fundamentalnej tezy, że Bóg jako Stwórca wszechrzeczy jest w stanie uczynić wszystko, co tylko zechce, gdyż nie jest niczym ograniczony jako pełnia bytu, a nawet – przyznają zwolennicy platonizmu i neoplatonizmu – „nad-ontyczny” warunek owej pełni.

Oczywiście, wypowiadam tę formułę w określonym nazewnictwie metafizycznym, pamiętając, że pierwszym „miejszem”, w którym mamy do czynienia z pojęciem Boga pozostaje religia (religie), choć religia i metafizyka mają i muszą mieć ze sobą wiele wspólnego. Ale to są kwestie innego rodzaju.

Pandemia, powszechnie obejmująca globalny świat, nagle obudziła nas wszystkich z letargu, w jaki popadliśmy w ostatnich latach zachodniego dobrobytu

II. Przytoczone pytania Piotra Nowaka, będące pokłosiem lektury mojego wiersza „Wielkanoc”[1], dotyczą właśnie religii, i to tej funkcjonującej w

chrześcijańskim kręgu kulturowy, do którego obaj przynależymy i w nim czujemy się najbardziej komfortowo, co nie znaczy że wyzbyci różnego typu rozterek, będących wszak nieodłącznym elementem doświadczenia konfesyjnego. W każdym razie pandemia, powszechnie obejmująca globalny świat, nagle obudziła nas wszystkich z letargu, w jaki popadliśmy w ostatnich latach zachodniego dobrobytu, powiązanego z projektem Unii Europejskiej, mającej gwarantować życie bezpieczne, wolne od ciężaru moralnej odpowiedzialności i Kościoła, coraz bardziej – w mniemaniu koryfeusza poświeceniowego modelu kultury – oddalającego się od pryncypiów akceptowanych przez tzw. nowego, czy ponowoczesnego człowieka, wiążącego swe najskrytsze nadzieje z naturalnymi możliwościami stechnicyzowanej rzeczywistości. Naukowy obraz świata wydawał się jedynym do przyjęcia i wystarczał, by codzienności nadal właściwy sens.

III. Ale i sama religia doznała wstrząsu. Okazało się, że chcąc obronić się przed rozprzestrzenianiem się COVID-19, trzeba unieruchomić w bardzo poważnym stopniu wspólnotowy wymiar życia, a co za tym idzie wydestylować niejako z religii jedną z jej cech konstytutywnych. Skoro religia w klasycznym ujęciu definicyjnym to ontyczna relacja między człowiekiem i osobowo pojętym Absolutem, w języku religijnym nazywanym Bogiem, w którym osoba ludzka uczestniczy jako w ostatecznym źródle swego istnienia i ostatecznym celu życia, to okazuje się, że ta więź człowieka z Bogiem musi być przez niego przyjęta, wyrażona w określonym kulcie oraz potwierdzona w aktywności moralnej. Czyli że w pełni może się rozwijać jedynie przy współdziałaniu innych osób. Z tej racji społeczność religijna akceptuje pewne wzorce zachowania religijnego, ustala formy kultu, w tym liturgii itd. Trudno wyobrazić sobie religię odartą z tego rodzaju perspektywy.

Dlatego w zaistniałej sytuacji, kiedy świątynie zostały właściwie zamknięte, koniecznością stało się korzystanie z medialnego sposobu budowania wspólnotowego aspektu religii. Czy to może wskazywać, że religia przestała być religią, przybierając jedynie jej namiastkową postać? W pewnym sensie tak, gdyż zanika sakramentalny wymiar posługi kościelnej, przez co wiara traci zakorzenienie w tajemnicy obecności Boga pośród ludu Bożego. Chodzi głównie o Eucharystię rozpoznawaną i przyjmowaną jako skuteczny dar Boga, jednoczący z Nim oraz z innymi ludźmi, otwierający drogę ku zbawczej rzeczywistości nieba. Spostrzegamy biały opłatek wzniesiony nad ołtarzem, odczuwamy smak chleba, a realnie spotykamy samego Chrystusa.

Więź człowieka z Bogiem musi być przez niego przyjęta, wyrażona w kulcie oraz potwierdzona w aktywności moralnej. Czyli że w pełni może się rozwijać jedynie przy współudziale innych osób

Dzieje się tak nie w sensie subiektywnego doznania, lecz w znaczeniu sakramentalnym, czyli stającym się jako uniwersalna norma ontologiczna. Wyrażając się mniej

skomplikowanie: cały Kościół doznaje łaski współobecności – jakby to określił św. Paweł – w Ciele Chrystusa, którym są chrześcijanie, przeżywając Paschę – przejście do życia nadprzyrodzonego. By te wielkie tajemnice miłości mogły się godnie spełniać, potrzeba jest głęboka wiara i osobiste pragnienie łaski udzielanej w znakach sakramentalnych. Kto bowiem w ogóle nie wierzy, ten też niczego nie otrzymuje, gdyż stawia sakramentowi nieprzezwyciężalną przeszkodę (*obex*)[2].

IV. Z drugiej jednakowoż strony Bóg obejmuje opatrnościową troską zarówno poszczególnych ludzi, w całym ich egzystencjalnym bogactwie, gdyż łączy Go z nimi stwórcza, pełna miłości, więź, jak i Kościół – wspólnotę [z grec. *ekklesia* = *zgromadzenie*] założoną przez Niego za pośrednictwem Chrystusa, by dzieło zbawcze – w Duchu Świętym – mogło przynosić owoce aż do skończenia świata. Oba wskazane porządki (jednostkowy i wspólnotowy) łączy sakramentalność Kościoła. Bez niego Kościół nie byłby w ścisłym sensie Kościołem, co najwyżej zewnętrzną organizacją wiary. Joseph Ratzinger wiele razy podkreślał, że sakramenty święte są zawsze wydarzeniem kultowym, podobnie jak sam Kościół. Jest On najpełniej sobą wówczas,

kiedy celebrowa liturgię i uobecnia odkupieńczą miłość Jezusa Chrystusa, a ta wyzwala ludzi z ich samotności i prowadzi do Boga, jednocześnie łączy ich wzajemnie ze sobą[3].

Z powyższego wysnuwam następującą konkluzję: gdyby się okazało, że światowa pandemia nie będzie ustępowała i zakaz odwiedzania świątyń zostanie utrzymany, wówczas życie religijne chrześcijan ulegnie niemal całkowitemu skostnieniu. Skurczenie się przestrzeni religijnej do serca każdego wierzącego sprawi, że zerwie się linią łącząca go z dawcą nieśmiertelności – Chrystusem. Samo życie Ewangelią – nawet nieświadome, co często się zdarza wśród osób niezwiązanych z Kościołem – pozostaje niesłychanie ważne, stanowi wszak konieczny aspekt wiary, niemniej jednak potrzebuje prawdziwego spotkania ze Zbawicielem, którego to spotkania domaga się miłość. Jest ona bowiem bytem relacyjnym i poprzez osobową bliskość wypełnia swoją istotową powinność. Z tej racji powinna rozbrzmiewać w Kościele jak najgłośniej i wiązać ze sobą wszystkich wierzących.

*Kościół jest najpełniej sobą
wówczas, kiedy celebrowa
liturgię i uobecnia
odkupieńczą miłość
Chrystusa, a ta wyzwala ludzi
z samotności i prowadzi do
Boga, jednocześnie łączy ich
wzajemnie ze sobą*

Pozostaje faktem
oczywistym, że jeżeli
kogoś się kocha,
pragnie się z nim jak
najczęściej widzieć,
współuczestniczyć w
jego
egzystencjalnym
doświadczeniu,
wspomagać w
duchowych
tarapatach,

odczuwać pewne wspólne drgnienia czułości i wzajemnego otwarcia się na siebie. Skoro tak jest lub być powinno między ludźmi, podobnie, na zasadzie analogii, ma realizować się między człowiekiem a Bogiem. Tylko w takiego rodzaju odniesieniu, powiązonym z kultem (liturgia i modlitwa, także osobista) może spełniać się autentyczna chrześcijańska religijność.

V. Stąd niezgodna na protestanckie przeformułowanie rozumienia Kościoła dążące do określenia jego istoty raczej w kategoriach Słowa Bożego niż relacji sakramentalnych, a w radykalnej postaci głoszące, iż prawdziwy Kościół jest ciałem niewidzialnym, ponieważ to, co decyduje o zbawieniu człowieka i jego członkostwie w Kościele, jest wewnętrznym aktem wiary[4]. Przypuszczam, że niedogodności wiążące się z obostrzeniami dyktowanymi przez warunki powstałe na skutek śmiertelnej zarazy, mogą doprowadzać do ożywiania się eklezjalnych tendencji o posmaku protestanckim. Obym się jednak mylił!

VI. Każdego człowieka dźwiga Bóg z jego niedoli, zarówno skruszonego w opustoszałym kościele, jak i znajdującego się na publicznym placu w otoczeniu innych ludzi. W opatrnościowym wejrzeniu na świat Stwórcy nie dokonuje tego rodzaju rozróżnień. Chce natomiast, żeby Jego wyznawcy wciąż podnosili się do ewangelicznego poziomu życia. Żeby w głębi Kościoła próbowali budować jedność opartą nie na sile władzy, ale na wrażliwości skierowanej w stronę ubogich i potrzebujących. Jezus ucieka, kiedy tłum chce by został królem...

Każdy moment w historii, nawet tak trudny i bolesny, jak obecny, nie może nas zwalniać od podążania Jezusowymi śladami.

Ks. Jan Sochoń

Warszawa-Bielany, 17 kwietnia 2020 roku

[1] Budda nikogo nie kocha,
nikogo nie przygarnia do serca,
co najwyżej wszystkim
i wszystkiemu współczuje.

Jezus wznosi się na krzyż Poniżenia,
odarty z szat, nagi w boleści,
ku niebu nas dźwiga w pustym kościele,
ku niepojętej szczęśliwości.
(J. Sochoń, *Wielkanoc*, z tomu *Nie pocieszaj się tylko płacz*, w
redakcyjnym przygotowaniu)

[2] G. L. Müller, *Dogmatyka katolicka*, przekł. W. Szymona, Kraków
2015, s. 653.

[3] J. Ratzinger, *Kościół – znak wśród narodów. Pisma eklezjologiczne i
ekumeniczne*, przekł. W. Szymona, t. VIII/1, Lublin 2013, s. 229.

[4] Zob. *Encyklopedia Kościoła*, t.1 A-T oprac. F. L. Cross, tłum.
zbiorowe, Warszawa 2004, s. 1221.